

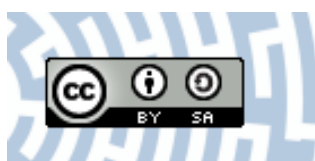


You have downloaded a document from  
**RE-BUŚ**  
repository of the University of Silesia in Katowice

**Title:** Disneyland z karą śmierci

**Author:** William Gibson ; Marzena Kubisz, Marcin Mazurek (tł.)

**Citation style:** Gibson William ; Kubisz Marzena, Mazurek Marcin (tł.).  
(2021). Disneyland z karą śmierci. „Er(r)go : teoria, literatura, kultura” (Nr 42,  
z. 1, 2021, s. 269-280), DOI:10.31261/errgo.11621



Uznanie autorstwa - Na tych samych warunkach - Licencja ta pozwala na kopiowanie, zmienianie, rozprowadzanie, przedstawianie i wykonywanie utworu tak długo, jak tylko na utwory zależne będzie udzielana taka sama licencja.



UNIwersYTET ŚLĄSKI  
W KATOWICACH



Biblioteka  
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki  
i Szkolnictwa Wyższego



## Disneyland z karą śmierci<sup>1</sup>

“JAKBY CAŁYM KRAJEM rządził Jeffrey Katzenberg”<sup>2</sup>, powiedział producent, “według zasady ‘bądź szczęśliwy, albo cię zabiję’”. Siedzieliśmy w biurze, mieszczącym się przecznicę od Rodeo Drive, pełnym dużych czarnych mebli wydzierżawionych za pomocą japońskiego kapitału.

Teraz, kiedy już tu jestem, trudno mi opędzić się od metafory Disneylandu. Podobnie jak od obrazu Rodeo Drive, choć jej lokalny odpowiednik przywodzi raczej na myśl trzydzieści lub czterdzieści galerii handlowych Beverly Center ustawionych obok siebie.

Czy to nie Laurie Anderson powiedziała, że rzeczywistość wirtualna nigdy nie będzie wyglądała na prawdziwą, o ile ktoś nie wpadnie na pomysł, jak ją ubrudzić? Singapurskie lotnisko, Changi Airtropolis, wydaje się mieć niewiele większą rozdzielczość niż wczesne wersje wirtualnego świata firmy VPL<sup>3</sup>. Nigdzie ani grama brudu, bałaganu czy postrzępionych fraktalnych krawędzi. Na zewnątrz wszelkie formy życia organicznego, bujne jak to w tropikach, ukształtowano w cudownie zielone i aż nazbyt doskonale kopie samych siebie. Tylko chmury upstrzone były chaosem – dziwaczne kolumnowe struktury unoszące się nad Cieśniną Chińską.

Taksówkarz ostrzegł mnie, żeby nie śmiecić. Spytał, skąd jestem.

Spytał też, czy tam, skąd pochodzę, jest czysto. “Singapur bardzo czyste miasto”. Kiedy tylko przekroczył dozwoloną prędkość, naszą rozmowę przerwał irytujący mechaniczny dzwonek w japońskim stylu, dając nam obu znać, że jedzie za szybko. Tereny po obu stronach autostrady wyglądały na pola golfowe...

1. Oryginalna wersja niniejszego tekstu pt. “Disneyland with the Death Penalty” ukazała się w czasopiśmie *Wired*, wrzesień/październik 1993, nr 1.4 (<https://www.wired.com/1993/04/gibson-2/>). Niniejszy przekład publikujemy za zgodą Autora. Twórcami przypisów są Marzena Kubisz i Maricn Mazurek.

2. Jeffrey Katzenberg (ur. 1950) – amerykański producent filmowy, były prezes The Walt Disney Company, współzałożyciel wytwórni DreamWorks, producent najbardziej znanych filmów animowanych ostatnich dekad, tutaj skojarzony ze sztucznym animowanym światem, pełnym porządku i precyzyjnie zaplanowanym w duchu statecznej pro-rodzinnej rozrywki. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy.

3. VPL (Virtual Programming Languages) Research – założona w 1984 roku jedna z pierwszych firm komputerowych specjalizująca się w technologiach wirtualnej rzeczywistości.

- Przyjechać na golfa?
- Nie.
- Biznes?
- Dla przyjemności.

CMoknął przez zęby. Najwyraźniej miał wątpliwości.

Singapur jest jak ogólnodostępny program telewizyjny zarządzany w najdrobniejszych szczegółach przez państwo, które sprawia wrażenie jednej wielkiej korporacji. Gdyby IBM kiedykolwiek zadał sobie trud posiadania faktycznego kraju, to miałby on wiele wspólnego z Singapurem. W firmie Singapur Sp. z o.o., całkowicie pozbawionej poczucia humoru, skrępowanie nosi białe koszule, główną dyrektywę stanowi konformizm, a wszelkie przejawy nieortodoksyjnej kreatywności to towary niezwykle deficytowe.

W Singapurze nie ma luzu. Jest jak azjatycka wersja Zurichu zamkniętego w zamorskiej kapsule u wrót Malezji: zamożny mikrokosmos, którego obywatele zamieszkują swoisty rodzaj, no właśnie, Disneylandu. Disneylandu z karą śmierci.

Z tą różnicą, że Disneylandu nie wzniesiono na równie osobliwym dziewiętnastowiecznym parku tematycznym, zbudowanym, by zaspokoić romantyczne tęsknoty i czysto merkantylne potrzeby Imperium Brytyjskiego. Współczesny Singapur to po części wiktoriański konstrukt pomalowany świeżą farbą i przebijający się pod dziwnymi kątami spod śnieżnobiałego blasku neogernsbackowej metropolii. Nieliczne, celowo zachowane fragmenty jego historycznej tekstury przypominają jak cudownie dziwnym *entrepôt* Singapur był kiedyś: produktem Imperium, nawet bardziej perwersyjnym niż Hongkong.

Próba fizycznego kontaktu ze starym Singapurem to doświadczenie raczej bolesne, jak gdyby plac Nowoorleański w kalifornijskim Disneylandzie zbudowano na miejscu prawdziwej Francuskiej Dzielnicy, zrównując ją z ziemią i zastępując szklanym symulakrum. Fasady zachowanych wiktoriańskich domów-sklepów przypominają londyński Covent Garden w nieprawdopodobnie słoneczny dzień. Wciąż odczuwając skutki jet lagu, wybrałem się na kilka samotnych spacerów o świcie, kiedy duchy miasta są najbardziej widoczne, ale nie znalazłem zbyt wielu śladów dawnej rzeczywistości: kadzidełka tłące się w starym mosiężnym naczyniu na pomalowanej na biało kolumnie domu-sklepu, lustro umieszczone nad wejściem do magazynu artykułów elektrycznych, aby schwytać i przepędzić nadchodzące w prostej linii zło, podrdzewiałą trójkołową rikszę przymocowaną do świeżo pomalowanej żelaznej barierki. Fizyczna przeszłość zniknęła tu niemal całkowicie.

W 1811 roku, kiedy lokalny wódz Temenggong przybył z setką Malajów, by ponownie zasiedlić Singapurę, Miasto Lwa, dżungla już dawno opanowała ruiny czternastowiecznego grodu, o który walczyły kiedyś Jawa, Syjam i Chiń-

czycy. Zaledwie osiem lat później przybył tu sir Stamford Raffles, który zszedł na brzeg pośród kłębowisk jadowitych węży i rzecznych piratów i ogłosił wszem wobec, iż w tym wspaniałym miejscu powstanie, od zera, brytyjska baza handlowa. Raffles miał wizję – w koronie Jej Królewskiej Mości pragnął umieścić różne kolonialne klejnoty w postaci etnicznie odrębnych dzielnic: tu Arab Street, tam chińska Tanjong Pagar, a tam indyjska Serangoon Road. Park tematyczny Rafflesa rozkwitał przez sto dziesięć lat – wolny port, chłopięca fantazja rodem z przygodowych powieści Talbota Mundy’ego, pelen ludzkich przypraw z każdego zakątka Azji, podany na schludnie podzielonej tacy z solidnej brytyjskiej porcelany: “Manchester Wschodu”. Zaiste, bardzo pożądana metka.

Brytyjski sen skończył się wraz z nadejściem Japończyków, którzy zagarnęli wszystko z przerażającą łatwością. Okres powojenny przyniósł gwałtowny kryzys i równie gwałtowne pragnienie niepodległości. W 1965 roku Lee Kuan Yew, prawnik wykształcony w Cambridge, został pierwszym premierem kraju. Dzisiejszy Singapur jest w znacznie większym stopniu ucieleśnieniem wizji Lee Kuan Yewa niż Manchester Wschodu kiedykolwiek był wytworem marzeń sir Stamforda Rafflesa. Od tamtej pory władzę niepodzielnie dzierży People’s Action Party (PAP) – Partia Akcji Ludowej – Lee Kuan Yewa i, jak powiedzieliby niektórzy, za pomocą nierzadko drastycznych metod dba o to, by ten stan się nie zmienił. Symbolem PAP jest komiksowy piorun w okręgu; Reddi Kilowatt<sup>4</sup> jako maskotka systemu, będącego w praktyce jednopartyjną kapitalistyczną technokracją.

## Tajemnica państwowa: dane finansowe

Singapur. Urzędnik rządowy, dwóch ekonomistów oraz redaktor gazety będą sędzeni zbiorowo 21 czerwca za ujawnienie oficjalnej singapurskiej tajemnicy państwowej – wskaźnika wzrostu ekonomicznego.

Wydawca *Business Times*, Patrick Daniel, przedstawiciel Banku Centralnego Singapuru, Shanmugaratnam Tharman, oraz dwóch ekonomistów z regionalnego domu maklerskiego Crosby Securities, Manu Bhaskaran i Raymond Foo Jong Chen, nie przyznali się do winy naruszenia Ustawy o Tajemnicy Urzędowej Singapuru.

*South China Morning Post*, 29 kwietnia 1993

Singapur Reddiego Kilowatta wygląda jak zdecydowanie bardziej nadająca się do zamieszkania dzielnica ośrodków konferencyjnych Atlanty, z co trzecim budynkiem zwieńczonym wesołym imprezowym kapeluszem zaprojektowanym

---

4. Reddi Kilowatt – właściwie Reddy Kilowatt, stworzona w 1926 roku sympatyczna komiksowa postać o ciele składającym się z symboli piorunów oraz okrągłej głowie z żarówką zamiast nosa, która uosabiała rozwój elektryczności w Stanach Zjednoczonych i często wyjaśniała różne jej aspekty szerokiej publiczności.

przez architekta Chińskiego Teatru Loewa. Rokokowe pagody przyozdabiają gigantyczne gładkie ściany skrywające tyle metrów sześciennych atriów, że wystarczyłoby ich na kilka słusznych rozmiarów pozaziemskich kolonii. Wzdłuż Orchard Road, Piątej Alei południowo-wschodniej Azji, wypełnionej po brzegi wielopiętrowymi centrami handlowymi, przedstawiciele rozkwitającej klasy średniej bezustannie robią zakupy. Młodzież, w większości nosząca sztucznie postarzone czapki z lokalnego kłona sklepu Gap, wygląda atrakcyjnie – do twarzy im w szortach, reebokach i ciemnych okularach firmy Matsuda.

W Singapurze jest mniej możliwości wyboru, o alternatywnych stylach nawet nie wspominając, niż w jakimkolwiek mieście, w którym byłem. Tylko raz spostrzegłem dwóch młodych Malajczyków odzianych w uniwersalną heavy-metalową czerń – jeansy, t-shirty i włosy do pasa. T-shirt jednego przyozdobiony był rastafariańskimi kolorami i pomyślałem, że albo jego właściciel miał jaja wielkości owoców durianu, albo był totalnym samobójcą, albo jedno i drugie. Ale w kwestii ostentacyjnej alternatywy, to by było na tyle. (Nie spotkałem też w Singapurze ani jednej “bad girl”. A szkoda). Dokładny przegląd dostępnych taśm i CD potwierdził popową dietę, tak bezbarwnie przeciętną, iż łatwo było pomyśleć, że cały asortyment został oceniony przez mormońskich misjonarzy.

— Nie macie przypadkiem Shonen Knife?<sup>5</sup>

— To jest sklep muzyczny, proszę pana.

Mormoni nie są jednak potrzebni, by zapewnić nieskazitelną popu, kiedy pod ręką jest Undesirable Propagation Unit (UPU), czyli Wydział do spraw Niepożądanego Propagandy, jedna z kilku instytucji oficjalnej cenzury (co prawda, nie mam pewności, że to właśnie UPU cenzuruje muzykę popularną w Singapurze, ale spodobała mi się sama nazwa). Owe instytucje pilnują, by moralna zgnilizna rodem z *Cosmopolitana* nie zanieczyściła nieskalanego społeczeństwa. Dlatego też księgarnie w Singapurze to smutny widok; wielkie, pełne ludzi miejsca nie sprzedające niczego, co miałbym ochotę kupić – jak gdyby ktoś chirurgicznie wysterylizował księgarnie W.H. Smitha. Gdy przeglądałem w nich działy science fiction i fantasy, z pewnym zadowoleniem zauważyłem, że nie oferują moich książek. Nie mam pewności czy UPU zawróciło je na granicy, ale jeśli tak, to z pewnością znalazłbym się w dobrym towarzystwie.

Lokalne gazety, łącznie z dziwnie nienaturalnym tabloidem *New Paper*, to tak naprawdę organy państwa, instrumenty jedyne słusznego przekazu. Ta nieprzerwana autopromocja w służbie porządku, zdrowia, dobrobytu i singapurskiego

---

5. Shonen Knife – japoński kobiecy zespół grający alternatywnego rocka od lat 80., najwyraźniej zupełnie nieznaną w Singapurze. Dwuznaczność nazwy (ang. *knife* – nóż) skłoniła sprzedawcę do przypuszczenia, iż Gibson pyta o rodzaj noża, a nie o płytę zespołu.

stylu życia szybko przywodzi na myśl stonowaną wersję orwellowskiego koszmaru. (I wrażenie, że Wielki Brat ma tu szczęśliwą twarz bynajmniej tej myśli nie odpędza). Oczywiście, można by mieszkać w Singapurze i wiedzieć, co dzieje się na świecie. Należałoby jednak *wyciszyć niektóre tony*, lub nawet całkowicie je zagłuszyć, jeśli to możliwe...

Singapurska telewizja uwielbia wyjaśniać Singapurczykom ich samych. Modelowe rodziny, chińskie, malajskie, hinduskie, odgrywają krótkie sztuki wyjaśniające zwyczaje każdej z kultur. Rodzinny świat, który z nich emanuje, przypomina telewizyjny show *Leave It To Beaver*<sup>6</sup>, tylko bez tytułowego bohatera, świat wyidealizowanego paternalizmu, który Amerykanom mojego pokolenia przypomina o przesadnej publicznej samoświadomości Ameryki połowy lat pięćdziesiątych.

— O rety, tato, *naprawdę się cieszę*, że poświęciłeś czas, by tak wyczerpująco i precyzyjnie wyjaśnić nam niuanse Święta Duchów w najdrobniejszych szczegółach.

— Synu, mama właśnie przyniosła pożywne beztłuszczowe kiełbaski *lup cheong* o niskiej zawartości cholesterolu oraz odtłuszczone mleko kokosowe.

I pod wieloma względami wydaje się, że w Singapurze nadal jest rok 1956: wojna (czy raczej w tym przypadku: walka ekonomiczna) została wygrana, coraz liczniejsza klasa średnia cieszy się rosnącym dobrobytem, na wielką skalę prowadzi się prace publiczne, a w kolejce czekają jeszcze bardziej ambitne projekty. I do tego głęboko paternalistyczny rząd, który gotów jest za wszelką cenę oddalić potrójną groźbę komunizmu, pornografii i narkotyków.

Oczywiście, jedyny problem polega na tym, że dla reszty świata rok 1956 to przeszłość. Choć, jak można by podejrzewać, Singapur uważa, że to nasz problem. (Ale późno w nocy, w zaciszu hotelowego pokoju, zaczynam się zastanawiać, jaka czekałaby nas przyszłość, gdyby taki punkt widzenia okazał się prawdziwy?)

A to dlatego, że w kategoriach biznesowych Singapur to naprawdę odjazdowe miejsce. Rzecz w tym, że przyszłość jest tu taka świetlana... Jakież inny kraj przygotowuje się do samosklonowania, odrywając od siebie, jak od lodowca, mniejsze kawałki zaawansowanego społeczno-gospodarczego lodu? Tak, oto i ono, pierwsze współczesne miasto-państwo w pełni wykorzystujące koncepcję franczyzy w postaci mini-Singapurów! I to ilu!

W nadbrzeżnym mieście Longkou, w prowincji Shandong, na terenie Chin (dokładnie naprzeciwko Korei), singapurscy przedsiębiorcy przygotowują się do uruchomienia pierwszego klona w postaci zmodernizowanej infrastruktury portowej, elektrowni, budynków mieszkalnych oraz – a jakże – centrów handlowych.

---

6. *Leave It to Beaver* – amerykański program telewizyjny nadawany na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, przedstawiający życie wyidealizowanej amerykańskiej rodziny, której sielankową podmiejską egzystencję zakłócają perypetie ich syna Beavera, naiwnego i dobiekliwego siedmiolatka.

Projekt, mający docelowo zajmować 1,3 kilometra kwadratowego, przypomina mi Wielki Hongkong Pana Lee z powieści Neala Stephensona *Snow Crash*<sup>7</sup>: niezależne państwo powstałe jak tyle sieciowych restauracji serwujących smażony makaron wzdłuż dróg dojazdowych prowincjonalnych amerykańskich miast. Ale Wielki Singapur Pana Lee to bardzo poważny biznes, a Chińczycy już nie mogą się doczekać otrzymania praw do franczyzy na ich własnym terenie. I to pronto.

Zwykle, kiedy staję twarzą w twarz z nowym miastem, szukam rzeczy, które się zepsuły lub rozpadły i odsłoniły ukryte mechanizmy społeczne, sieć prawdziwych połączeń pod powierzchnią wizji promowanej przez Izbę Handlową. Ale takie podejście nie sprawdzi się w Singapurze, bo tu nic się nie rozpada. Cokolwiek rozpadło się kiedyś, zostało już zastąpione czymś nowym. (Samo słowo *infrastruktura* nabiera tu nowego klaustrofobicznego znaczenia; w pewnym sensie *wszystko* jest tu infrastrukturą).

Kiedy nie da się znaleźć zaklętych rewirów, zwykle polegać można na badaniu nocnego życia oraz mechanizmów komercyjnego seksu jako wstępu do zgłębiania lokalnej podświadomości. Jak można było się spodziewać, oferta Singapuru w zakresie co bardziej intensywnych form nocnych rozrywek okazała się raczej skromna. Zouk, bodaj najmodniejszy klub taneczny w mieście (stworzony, jak się dowiedziałem, na wzór klubów rave na Ibizie), to raczej miłe miejsce. Kiedy zajrzałem do niego wieczorem, przypominał dużą barcelońską dyskotekę, pozbawioną jednak imprezowego klimatu. Ktokolwiek szuka nieco bardziej wyuzdanych atrakcji, musi przemierzyć graniczną drogę na grobli do Johoru, gdzie, jak wieść niesie, singapurscy biznesmeni oddają się lubieżnym przyjemnościom. (Ale czy wśród szemranych granicznych miast jest gdzieś dziś na świecie inne *islamskie* miasto?) Podobno tamtejszym klubom odbiera się licencje za organizowanie prywatnych boksów pełnych nieszczęśliwych Filipinek, założyłem więc, że ta islamska Tijuana na odległym końcu granicznej grobli pozostawała w jakiejś symbiotycznej relacji z wyspowym miastem-państwem, jako swoisty zawór uwalniający nadmiar ciśnienia, pełniąc tym samym kluczową funkcję psychiczną, czego oczywiście nikt oficjalnie nie potwierdzi.

Tymczasem Singapur radzi sobie z własnym seksprzemysłem na dwa sposoby: zamieniając tradycyjną dzielnicę czerwonych latarni w osobną atrakcję turystyczną oraz poprzez przeniesienie salonów masażu do centrów handlowych. Bugis Street, ulica znana kiedyś z prostytutek-transwestytów – miejsce, gdzie można było sobie wyobrazić spotkanie z nawalonym opium i kokainą Noelem Cowardem<sup>8</sup>, który właśnie wysiadł ze swojej rikszy, i w uszytym przez lokalnego krawca garniturze

7. Wydanie polskie: Neal Stephenson, *Zamieć*, tłum. Jędrzej Polak (Poznań: Zysk i S-ka, 1999).

8. Noël Coward – (1899–1973) skandalizujący angielski reżyser, pisarz i twórca musicali, znany ze swych homoseksualnych skłonności, rozrywkowego trybu życia i zamiłowania do mody.

szykuje się do nocy pełnej ostrych homoseksualnych uciech – została dosłownie nakryta stacją metra, kiedy okazało się, iż nie można nad nią zapanować. “Nie martwcie się”, powiedział rząd, “przywrócimy wszystko do poprzedniego stanu, kiedy tylko ruszy metro”. Nie trzeba dodawać, iż potencjał seksualny odnowionej Bugis Street jest mniej więcej taki, jak “Krainy Dzikiego Zachodu” w Disneylandzie, a transwestytów widać głównie na muralach.

Nieco inaczej potraktowano heteroseksualny biznes ręcznej stymulacji i można jedynie przypuszczać, iż w narodowym systemie konfucjańskim przypisano mu całkiem sporą wagę. W większości centrów handlowych znajduje się przynajmniej jeden “ośrodek zdrowia” – miejsca tego typu łatwo wziąć za eleganckie minispa, istnieją one jednak tylko po to, by gotowych do uiszczenia opłaty klientów, uwolnić od dokuczliwych erekcji. Fakt, że można je znaleźć pomiędzy outletem Reeboka a sklepem z rolexami tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że stanowią one element jakiejś celowej polityki społecznej, choć nie mam pojęcia o co może chodzić. Ale we współczesnym Singapurze bardzo niewiele rzeczy nie jest wynikiem celowej i bez wątpienia szczegółowo przemyślanej polityki społecznej.

Na przykład randkowanie. Zatoskany faktem, iż poprzednie kampanie mające na celu zredukowanie narodowego wskaźnika urodzin okazały się zbyt skuteczne, Singapur wprowadził system “obowiązkowych spotkań towarzyskich”. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie wydały mi się one zbyt niepokojące, choć nie spodobał mi się pomysł, żeby odmowa uczestnictwa rzekomo skutkowała “telefonem” do pracodawcy. Ale dostrzegłem tu pewien kontekst eugeniczny, gdyż wyglądało na to, iż obowiązkowymi randkami wśród ambitnych japiszonów zajmowała się jedna agencja rządowa, podczas gdy inna obejmowała mniej wykształcone osoby. Być może jednak pokręciłem to i owo, Singapurczycy bowiem na ogół zdecydowanie unikali rozmów o co bardziej intymnych aspektach polityki rządu z ciekawskim obcokrajowcem, który był dwa razy wyższy od przeciętnego człowieka i który pocił się, powoli lecz nieustannie, jak dojrzały ser.

W przedziwny, lecz jednocześnie satysfakcjonujący sposób, Singapur pozbawiony jest niektórych aspektów kreatywności. Piszę “satysfakcjonujący” ponieważ szybko odkryłem w sobie nieco desperackie zadowolenie wobec wszelkich dowodów na to, iż w tak ściśle kontrolowanym państwie brakuje nowatorskiego rozmachu.

Tak więc, choć musiałem przyznać, że pociągi jeżdżą tu naprawdę punktualnie, zmuszony byłem wziąć na celownik żałośnie łatwe cele. Ze współczesnych miejskich rzeźb zawsze łatwo jest się pośmiać, a tych w Singapurze nie brakuje. Zaobserwowałem wyraźną tendencję do bardzo dużych obiektów, w rodzaju tych, które swego czasu prezentował magazyn *Mad* po to, byśmy wykpiwali sztukę abstrakcyjną: wyniosłe bryły z brązu z równie wyniosłymi dziurami na wylot. Chociaż być może, jak inne z pozoru bezsensowne cechy miejskiego krajobrazu, pełniły one jakąś tajemniczą, aczkolwiek wysoce wyspecjalizowaną, funkcję geo-



mantyczną. Być może były faktycznymi łącznikami z *feng shui* i tylko na pierwszy rzut oka miały przypominać rzeźby Henry'ego Moore'a przerobione przez zespół projektantów mebli z Holiday Inn.

Jeszcze bardziej wyraźny brak kreatywności widoczny jest na przykładzie jednej z dwóch głównych namiętności mieszkańców miasta: zakupów. Pomijając typowe wahania cen, niezliczone centra handlowe sprzedają w zasadzie te same towary, w zadziwiająco niewielkim stopniu próbując urozmaicić swoją ofertę. I choć w podobny sposób postępują centra handlowe na całym świecie, co zresztą stanowi jeden z powodów, dla których ludzie tak stadnie je odwiedzają, to autentycznie konkurencyjna kultura sprzedaży detalicznej może sprawić, iż kupujący od czasu do czasu natrafia albo na coś nowego, albo na coś znajomego w nieoczekiwanym kontekście.

Drugą główną pasją Singapurczyków jest spożywanie posiłków, i rzeczywiście trudno znaleźć w Singapurze jedzenie, na które da się ponarzekać. Co najwyżej można by stwierdzić, iż je się tu właściwie tylko różne odmiany potraw tradycyjnych, lecz takie stwierdzenie nie byłoby fair. Jedyną rzeczą, bez której w Singapurze można się obejść, jest pizza Wolfganga Pucka. Ale singapurskie jedzenie, a zwłaszcza nieskończona różnorodność ulicznych przekąsek w otwartych restauracjach, to coś naprawdę wyjątkowego. Jeśli ktoś trafi na trzy odpowiednie restauracje z rzędu, może uznać te miejsca za cud współczesnego świata. A do tego bezpieczne, ze względu na skrupulatne, by nie powiedzieć po singapursku pedantyczne, podejście lokalnych inspektorów do spraw higieny, ale czy komuś to przeszkadza? (Oddajmy im zatem należy szacunek).

A jednak. I mimo wszystko. Nudno tu. I w pewnym sensie jest to ten sam rodzaj znudzenia, który czai się w każdym parku tematycznym, ale najbardziej w tych, które naprawiane są z agresywną elegancją. Wszystko pomalowano tu tak niedawno, że aż trzeszczy od tej schludności i nawet z rzadka przemykający radiowóz zaczyna wyglądać jak rekwizyt z restauracji Chuck E. Cheese<sup>9</sup>. . . I można zacząć podejrzewać, iż prawdziwych policjantów widać tu tak niewiele właśnie dlatego, że wszyscy noszą, by zacytować Williama Burroughsa, "policjanta w sobie".

A co się stanie, kiedy ci goście, jak to najwyraźniej planują, przestawią się na tryb online jako Inteligenta Wyspa, niezależny, gigantyczny punkt węzłowy danych, którego obliczeniowa architektura przewyższy ich szwajcarską infrastrukturę? I choć nie ma wątpliwości, że to właśnie zakłada obecny projekt narodowy, nie sposób nie pomyśleć o tym, jak planują zapanować nad tym całym ogromem, nie ulegając jednocześnie jego wpływowi. W jaki sposób społeczeństwo oparte

---

9. Chuck E. Cheese – sieć restauracji w Stanach Zjednoczonych, które oprócz jedzenia oferują także liczne formy rozrywki dla dzieci, takie jak salony gier, sale zabaw czy ruchome postaci z bajek, wpisując się tym samym rodzinno-konsumpcyjny model spędzania wolnego czasu.

na rodzicielskich (no dobrze, głównie ojcowskich) ideałach poradzi sobie z niecenzuralną dziczą cyberprzestrzeni? A może znajdzie sposób, by nie musieć tego robić? A co jeśli – wbrew powszechnemu przekonaniu, że informacja chce być wolna – przeciętny Singapurczyk po prostu nie będzie chciał siać fermentu? I robi to bardzo grzecznie, dziękując uprzejmie, po prostu nie robiąc nic?

Czy anonimowi funkcjonariusze, którzy trzymają Shonen Knife i anty-feminizm *Cosmopolitana* z dala od zbłąkanych miejscowych rąk, zezwolą na dostęp do przekraczających geograficzne granice autostrad i bocznych dróg ewoluującego Internetu? I co ważniejsze, czy zakaz takiego dostępu w nadchodzącym stuleciu będzie w ogóle brany pod uwagę przez nawet najbardziej ograniczonych strażników systemu?

Trudno powiedzieć. I na tym być może polega prawdziwa ranga Singapuru. Nieskrywany cel narodowej inicjatywy IT2000 jest prosty: bezterminowe utrzymanie dorocznego wzrostu produktywności – dla niemal trzymilionowej populacji – na poziomie trzech do czterech procent.

IT oznacza oczywiście “technologię informacyjną” i singapurska gotowość, by rzeczona technologia traktować nad wyraz poważnie, może na wszystkich zrobić spore wrażenie. W kategoriach wykorzystywania technologii Singapurczycy wydają się mieć niezwykle praktyczne wyczucie, do czego owa technologia jest zdolna. Narodowa Rada do spraw Komputeryzacji zaprojektowała system kontroli imigracyjnej zdolny do sprawdzania obcych paszportów w trzydzieści sekund, a krajowych – w piętnaście. Singapurskie ulice naszpikowane są czujnikami rejestrującymi ruch w czasie rzeczywistym, sygnalizacja świetlna sterowana jest komputerowo, a system, by zoptymalizować sytuację na drogach, sam się na bieżąco reguluje, tworząc “zielone fale”, gdzie tylko to możliwe. Inny rodzaj zielonej fali pojawi się, kiedy czujnik przeciwpożarowy w budynku wezwie pomoc: pojazdy służb ratowniczych automatycznie trafią na zieloną falę biegnącą aż do źródła alarmu. Fizycznym działaniem miejskiego portu, nieprzerwanym i nieprawdopodobnie skomplikowanym, zarządza odrębny system. Planuje się także wprowadzenie kart chipowych, by zawiadywać systemem opłat dla samochodów wjeżdżających do Strefy Ograniczonego Ruchu. (Strefa Ograniczonego Ruchu to część centralnego Singapuru, do której wjazd prywatnym samochodem wymaga opłaty. Podejrzewam zresztą, że gdyby taki system chciało wypróbować, na przykład Portland, znaki obwieszcząłyby Strefę Czystego Powietrza lub coś w tym stylu).

Są w tym dobrzy. Nawet bardzo. A obecnie planują stać się czymś jeszcze innym: spójnym miastem informacji, z zaplanowaną od podstaw architekturą. I oczekują, że całe autostrady danych będą płynąć do ich miasta i przez nie. Wydają się też zakładać, że nie wpłynie to na nich. I to właśnie niepokoi nas, a to z kolei chyba niepokoi Singapurczyków.

Osobiście uważam, iż jeśli okaże się, że mają rację, to stanie się coś bardzo smutnego, i to nie tylko w odniesieniu do Singapuru, ale całego naszego gatunku. Udowodnią, że możliwy jest rozkwit poprzez czynną represję nieskrępowanej ekspresji. Udowodnią, że informacja niekoniecznie chce być wolna.

Być może jednak jestem zbytnim pesymistą. Często mi się to zdarza, takie skrzywienie zawodowe. (Z drugiej strony, czy tu i teraz, pod sam koniec dwudziestego wieku, może być coś bardziej przerażającego niż autentycznie optymistyczny pisarz science fiction?) Być może przyszłość, jaka czeka Singapur, to nic innego niż zadowolona z siebie neoszwajcarska enklawa porządku i dobrobytu, pośród morza czegoś niewyobrażalnie... dziwnego.

Dobry Boże. To dopiero wizja.

Całkowicie wystarczająca, aby zerwać się z fotela w atrium lobby hotelu Meridien Singapore i zadzwonić po taksówkę prosto do pozbawionych fraktali korytarzy Airtropolis.

Ale to jeszcze nie koniec. Któregoś wieczoru przyjdzie czas, by przypomnieć sobie o Holendrze.

Nie opowiedziałem wam jeszcze o Holendrze. Wygląda na to, że go powieszają.

## Kara śmierci za kilogram konopi

Wysoki Sąd skazał wczoraj na karę śmierci Malajczyka, który ponad dwa lata temu wwiózł do Singapuru ponad kilogram konopi.

Mat Repin Mamat, lat 39, został uznany za winnego przestępstwa popełnionego w punkcie kontrolnym Woodlands, w dniu 9 października 1991 roku. Proces trwał pięć dni.

W przesłuchaniu wzięło udział dwóch tłumaczy.

Pierwszy tłumaczył z angielskiego na malajski, drugi z malajskiego na kelantantyjski, skąd pochodzi Mat Repin.

Prokurator oskarżył Mata Repina o to, iż kiedy zjawił się w punkcie kontrolnym i spytano go, czy ma do oclenia jakieś papierosy, zaprzeczył.

Ponieważ zachowywał się nerwowo, starszy oficer służby celnej zdecydował o sprawdzeniu jego skutera.

Zapytany następnie, czy przewozi jakiś "barang" (towar), Mat Repin odparł, że pod zbiornikiem paliwa wiezie kilogram "gandzi" (konopi).

Na swoją obronę dodał, iż nie wiedział, że ukryto tam konopie.

*The Straits Times*, 24 kwietnia 1993

W dniu, w którym skazano Mata Repina, toczył się także proces Holendra. Inżynier Johannes Van Damme okazał się być w posiadaniu walizki, w której podwójnym dnie odkryto bardzo dużo barangu – 4,32 kilograma heroiny nadanej z Bangkoku do Aten.

Oskarżenie zakładało, że Van Damme był słupem; zgodził się zawieźć walizkę do Aten za równowartość 20 000 dolarów amerykańskich. Wyszkolone w znajdowaniu narkotyków psy z lotniska Changi zwęszyły jednak walizkę, którą wyłowiono z lotniskowego podajnika podobnie jak Van Damme'a z tranzytowej poczekalni, gdzie być może przyglądał się, jak tata Beavera wyjaśnia synowi niuansę Święta Duchów na zamontowanym na ścianie telewizorze marki Sony.

Obrona przedstawiła inną historię, która miała mniej więcej tyle sensu, co opowieść Mata Repina. Van Damme przyleciał do Bangkoku, żeby kupić obrączkę ślubną dla swojej córki i spotkał tam pewnego Nigeryjczyka, który poprosił go grzecznie o zabranie walizki do Aten. "Można zatem dojść do wniosku", perorował prawnik obrony, "iż był on osobą naiwną lub kimś, kogo łatwo było wykorzystać". Albo, do cholery, jednym i drugim. Uznałem to za swoistą formę błagania o litość.

Na zdjęciu w gazecie Johannes Van Damme wygląda na głupiego jak dwa buty.

Nie powiem wam, czy był winny, czy nie, wolałbym zresztą tego nie robić, ale muszę przyznać, że mam swoje wątpliwości na temat tego, czy Singapur powinien powiesić go za szyję i czekać, aż umrze, nawet jeśli rzeczywiście brał udział w przrzuceniu kilku kilogramów heroiny z jakiegoś zaplecza w Bangkoku do paru ćpunów z ateńskiej Plaki. W końcu, do licha, nie ma to aż takiego związku z Singapurem. Ale pamiętacie politykę "zerowej tolerancji"? Ci goście ją opanowali.

I dokładnie następnego dnia ogłosili wyrok śmierci dla Johanna Van Damme. Ma jeszcze co najmniej jedną szansę na odwołanie i ciągle jest, jak zauważa gazeta, "pierwszym białym", który wpakował swój tyłek w takie narkotykowe tarapaty.

"A mój tyłek", powiedziałem do siebie w lustrze, "się stąd wynosi". Włożyłem białą koszulę wypraną tak doskonale, że mankietami można by podciąć sobie żyły. Umyłem zęby, sprawdziłem ostatni raz bagaż, zapomniałem zabrać z minibaru puszkę australijskiego "Singapore Sling" dla żony.

Zszedłem do recepcji i wymeldowałem się w rekordowym tempie. Zarezerwowałem taksówkę na czwartą rano, choć oznaczało to dwie godziny na lotnisku Changi. Kierowca spał, ale obudził się od razu, dziwnie rozgadany jak na jedyną osobę w Singapurze, która ledwo mówiła po angielsku.

W drodze na Changi przelatywał przez każde czerwone światło, chichocząc. "Za wcześnie policjant..."

Byli już na Changi, obwieszeni wypasionymi austriackimi karabinami, które wyglądają jak plastikowe pistolety na wodę w kolorze khaki. I chyba zaczynałem wariować, bo zobaczyłem zgnieciony kawałek papieru na nieskazitelnej podłodze i zacząłem robić mu zdjęcia. Nie spodobało im się to. Kiedy podeszli, by go podnieść i zabrać, spojrzeli na mnie surowo.

Wiec unikałem kontaktu wzrokowego, poprawiłem krawat i przybrałem pozycję, która w końcu zawiodła mnie na pokład lotu linii Cathay Pacific do Hongkongu.


W Hongkongu zobaczyłem wielkie matowo-czarne motyle latające po sali odpraw, na które nikt nie zwracał najmniejszej uwagi. Zerknąłem też na Walled City of Kowloon<sup>10</sup>. Może uda mi się kiedyś zerknąć jeszcze raz, zanim zburzy je przyszłość.


Walled City, tradycyjna siedziba rzeźników, nielicjonowanych protetyków i dilerów heroiny, wciąż leży u stóp pasa startowego, czekając na wyburzenie. Dla współczesnych Chin osiedle jest kwestią niezwykle wstydliwą, a jego wyburzenie już dawno stało się jednym z warunków mającego na horyzoncie przejęcia Hongkongu przez Chiny.

Ul jak ze snu. Te niedopasowane, przypadkowe okna. Wydawały się wchłaniać cały gorączkowy ruch na lotnisku Kai Tak, zasysając jego energię jak czarna dziura. Na coś takiego właśnie czekałem...

Poluzowałem krawat i opuściłem singapurską przestrzeń powietrzną.

*Tłumaczyli Marzena Kubisz i Marcin Mazurek*

 <https://orcid.org/0000-0002-0194-472X>

 <https://orcid.org/0000-0003-0252-9576>

---

10. Walled City of Kowloon – znane również jako Miasto Ciemności, dzięki miasto-osiedle na obrzeżach miasta Kowloon w Hongkongu, bez bieżących dostaw wody i prądu, funkcjonujące poza jakąkolwiek jurysdykcją. Miasto było miejscem zamieszkania uchodźców i przestępców, a jego populacja, według nieoficjalnych szacunków, sięgała w szczycie pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców. Ostatecznie zostało zburzone w 1994 roku.